Świat powieściowy.

Nr. 105 **Tygodnik belletrystyczny.** Rok III.

Tajemnice wielkiego świata.

WOLNY PRZEKŁAD Z FRANCUZKIEGO.

PROLOG.

ZBRODNIA PRZY ULICY DU TEMPLE.

Auxerre jest miastem zbudowanem w półkolu nad brzegiem l'Yonny. Jest ono otoczone do koła pięknemi drzewami i dzieli się na wyższe i niższe miasto.

Jedyna ulica poboczna, ulica du Pont, łączy obie części.

Niektóre rodziny mieszczańskie, albo niższej szlachty, które zaludniają stolicę niższej Burgundji, osiedliły się nad wybrzeżem l'Yonny, w pobliżu hotelu du Léopard.

Kupcy z okolicy, mieszczanie handlujący drzewem, uczęszczają na ulicę du Temple, do Wiktora Hugot, w hotelu de l'Epée.

Wyższa i niższa szlachta odwiedza hotel du Léopard.

W sobotę wieczór hotel du Léopard przedstawia widok bardzo malowniczy i nadzwyczaj ożywiony.

Podwórze przepełnione jest powozami rozmaitego rodzaju; jest tam wszystko, kabriolety, kariolki, eleganckie powoziki angielskie o dwóch i czterech kołach, tryndulki, familijne ciężkie pojazdy; niczego nie braknie.

Tutaj pan de C. żąda swego rączego konia i przebiega szybkim kłusem przestrzeń sześciomilową, dzielącą go od jego domostwa. Tam wicehrabia de P. siedzi już w swoim kabriolecie, zaprzężonym czterema dzielnemi końmi.

Panie eleganckie i ładne po większej części, sadowią się w powozy i powoziki.

Słychać pożegnania z powozu do powozu i powtarzania:

— Do przyszłej soboty!

I każdy odjeżdża, jedni do Joigny, drudzy do Sens, inni do la Puisaye. Ta szczególna defilada rozpoczyna się o szóstej godzinie w lecie, o czwartej w zimie i przeciąga się długo do nocy.

Jedzą śniadanie w Auxerre w dnie targowe, to jest w sobotę, ale zwykle każdy wraca na obiad do siebie.

Niektórzy jednak młodzi ludzie zostają do późna, i rozpoczynają się tam gry nie na żarty.

Często kabriolet wicehrabiego M. stoi zaprzężony od godziny czwartej, a o północy jeszcze słychać rżenie konia w podwórzu du Léopard.

Wicehrabia przegrywa ciągle i gra dalej.

W ostatnią sobotę w październiku r. 1840, hotel du Léopard wypróżnił się powoli, w podwórzu stał tylko jeszcze kabriolet barona de Planche-Mibray, zaprzężony dwoma silnemi rumakami.

Było w pół do jedenastej wieczór.

Chłopiec stajenny palił spokojnie fajeczkę, siedząc na ławce koło wozowni i rozmawiał z panem Fanfare, strzelcem pana Planche-Mibray.

Fanfare przyjechał sam z swoim panem do Auxerre, chociaż wcale nie do niego należało powozić kabrioletem.

Fanfare nie był służącym, był strzelcem, a gdy był z swoim panem na polowaniu, baron sadzał go przy stole.

Jednakże dnia tego pan de Planche-Mibray miał widocznie swoje powody do zostawienia woźnicy i lokaja w zamku, a Fanfar'a wziął ze sobą.

Widocznie jednak Fanfare nie znał zupełnie tych powodów, bo niecierpliwił się, a na domiar jeszcze klął i przeklinał, oczekując swego pana, który nie przychodził.

— Nie rozlewaj sobie żółci, panie Fanfare — mówił chłopak stajenny — pan baron jest w klubie. Wie się godzinę, o której się tam wchodzi, ale nigdy nie można przewidzieć, o której się wyjdzie.

— Jednakże — odrzekł Fanfare — mamy sześć dobrych mil ztąd do Planche-Mibray.

— Wiem o tem.

— Pan baron ma polować jutro.

— Czyż nie poluje co dnia?

— Tak, prawie. I nie będę miał czasu zrobić przygotowań do polowania.

— No! — odrzekł gruby Jakób (było to imię stajennego chłopca) — to nie będzie jutro polował i na tem koniec.

Fanfare przechadzał się szybko po podwórzu nierównem i spadzistem, mrucząc i przeklinając coraz bardziej.

— Pan baron — odezwał się znowu gruby Jakób — był dziś na objedzie u p. de Maugeville. Gdy ci panowie się zdybią, nie opuszczają się ani na chwilę. Dawna to podobno znajomość z pułku.

— Wart jeden drugiego — mruczał Fanfare — z tą jednak różnicą, że pan de Planche-Mibray jest uczciwym i dobrym człowiekiem, podczas gdy pan de Maugeville...

— No cóż? — zapytał chłopiec stajenny, przymrużając oko.

— Zawsze wdaje się w jakieś niepotrzebne rzeczy. A potem jest to birbant jakich mało.

— Wątpię bardzo — odrzekł gruby Jakób.

— Wszystko mu jedno i zeszłego roku dobrze dostał po plecach od młynarza de Pré Gilbert!

— Ach! opowiedz mi pan to, panie Fanfare.

Ale strzelec nie miał czasu zadowolić ciekawości chłopca stajennego.

Dzwonek ozwał się u bramy wchodowej.

— Zdaje mi się, że to wasz pan — odrzekł gruby Jakób — i poszedł otworzyć.

Oba rumaki zarżały wesoło, w chwili, gdy drzwi się otwarły. — Był to w istocie pan de Planche-Mibray, który wracał do hotelu. Ale nie był sam.

Pan de Maugeville, jego nierozdzielny przyjaciel, którego portret Fanfare skreślił wcale niepochlebnie, towarzyszył mu.

— Źle robisz Gastonie — mówił pan de Planche-Mibray — źle robisz, awanturując się w ten sposób.

— Ba! — odpowiedział Gaston de Maugeville — osiem dni jak to już trwa i nic mi się nie stało!

— Widziałem przed chwilą tego człowieka na placu des Fontaines, gdy pokazywał sztuki.

— A! widziałeś go?

— Dziką ma powierzchowność.

— Ba! nie wątpisz, że mam parę pistoletów w kieszeni.

— Piękny ratunek!

— A żonę jego widziałeś?

— Nie, mój przyjacielu.

— Cóż chcesz! Jestem szalenie zakochany... Moje serce nie mogło się oprzeć temu „powracaj“.

— Nie ro miem — odrzekł baron.

Widząc powracającego swego pana, Fanfare usiadł na koźle kabrioletu. — Dwaj młodzi ludzie stali w pewnej odległości i rozmawiali dość pocichu, aby ich Fanfare, ani gruby Jakób nie mogli usłyszeć.

— A! — odrzekł p. de Maugeville — nie rozumiesz tego słowa powracaj?

— Nie.

— Jest temu lat pięć. Byłem jeszcze w naszym kochanym siódmym pułku huzarów, który stał załogą w Tarascon. Z Tarascon do Beaucaire bardzo blisko. Było to podczas jarmarku. Trupa kuglarzy zwracała uwagę powszechną. Była tam szczególniej młoda dziewczyna, która, jak mówiono, żyła z herkulesem, a która zawróciła mi głowę. Kochaliśmy się dni osiem.

— I to ona?

— Naturalnie.

— Teraz rozumiem „powracaj“. A ten herkules?

— To poczciwina, który teraz jest jej mężem, bo się z nią ożenił. Ale ładna dziecina czteroletnia, którą mają ze sobą, gdyby była moim grzechem miłośnym, nie dziwiło by mnie to wcale.

— Wszystko to jedno, mój poczciwy Manuelu — rzekł p. de Planche-Mibray tonem chmurnym, w którym mimo to czuć było miłość prawie braterską — lecz nie narażaj się na zabicie przez herkulesa. Jedź ze mną.

— Gdzie?

— Do Planche-Mibray do kata! Polujemy jutro na dzika.

— Nie, zostaję. Żegnam cię.

Pan de Planche-Mibray wsiadał już do kabrioletu. Zwrócił się nagle do p. de Maugeville.

— Nie — rzekł — nie pojadę.

— Dlaczego?

— Zostaję z tobą.

— Co za szaleństwo!

— Przeczucie dziwne... Wybacz mi... chcę ci przeszkodzić popełnić głupstwo.

— Cóż znowu!

Pan de Planche-Mibray zwrócił się do swego strzelca.

— Fanfare — rzekł do niego — możesz sobie odjechać.

— Pan nie jedzie?

— Nie, nocuję w Auxerre.

— Nie będzie polowania jutro?

— Nie.

— Czy mam przyjechać po pana?

— Przyszlesz mi jutro wieczór mój kabriolet i Grzegorza.

Strzelec zciągnął cugle, zaciął konie, cmoknął jeszcze na nie, gruby Jakób otworzył bramę i dzielne rumaki pomknęły szybko, wzniecając iskry za każdem silniejszem uderzeniem kopyt. Pan de Planche-Mibray podał rękę p. de Maugeville, mówiąc:

— Chodź, pójdziemy na plac des Fontaines. Chcę obaczyć tę kobietę, która ci tak zawróciła głowę, że dla niej narażasz aż swe życie co wieczora.

I obaj wyszli znowu z hotelu du Léopard.

II.

Pan de Maugeville i pan de Planche-Mibray byli w jednym wieku i kolegami szkolnymi w Saint-Cyr.

Obaj wysłużywszy lat sześć, podali się do dymisji.

Baron był bogatym, pan de Maugeville trochę nadszarpał swój majątek.

Sąsiadowali na wsi.

Z wieży zamku de Planche-Mibray, zbudowanego nieopodal brzegów l'Yonny, widać było w dalekiej równinie z drugiej strony rzeki, zamek de Seuil, który był dziedzicznym rodziny de Maugeville i należał do starszego brata Gastona.

Jednakże mimo przyjaźni, która łączyła pana de Planche-Mibray z p. de Maugeville, charaktery ich różniły się bardzo.

Pan de Planche-Mibray miał lat około trzydzieści,

a był z tak zwanych ludzi starej daty, nadzwyczaj prawy, uczciwy, rycerski i litościwy, to też ubóstwiany był w okolicy.

Pan de Maugeville uchodził za lekkiego nicponia. Nic nie było u niego świętego na tym świecie.

Z wyjątkiem długów karcianych nic nie płacił.

Będąc bardzo przystojnym, korzystał z tego daru, i niejedno małżeństwo szczęśliwe i spokojne przedtem, przez niego się poróżniło. Lubił wszelkie zaczepki i sławny był w okolicy z swoich pojedynków i sprzeczek, a gdy się zdarzyła sposobność, porywał się nawet na gajowego lub leśniczego.

Pan de Planche-Mibray ubolewał nad temi wszystkiemi wybrykami, lecz zawsze mu przebaczał, a często nawet cichaczem, z swej kieszeni załagodził spór nie jeden.

Tego wieczora, po zwierzeniach się swego przyjaciela czuł jakiś dziwny niepokój, jakby przeczucie.

P. de Planche-Mibray był bardzo religijny; był prawdziwym chrześcijaninem jak szlachta dawna. Wierzył w nieubłaganą sprawiedliwość boską.

Gdy mijali kręte i spadziste ulice, ciągnące się za hotelem du Léopard, a uwodziciel unosił się nad wdziękami swojej zdobyczy, p. de Planche-Mibray zapytywał ze strachem sam siebie, czy godzina kary nie nadeszła dla tego człowieka.

— Kochany przyjacielu — mówił p. de Maugeville — za tydzień mamy wielki jarmark. Zdaje się, że Fanfreluche zostanie aż do tego czasu.

— Cóż to za jeden ten Fanfreluche?

— [illegible]zecież to on.

[illegible]łąż?

— Do kata! herkules co się zowie! Prawdziwy kolos. Gdy widzisz ich razem w budzie kuglarskiej rzekłbyś: kania i gołąbek.

— A! — szepnął p. Planche-Mibray z roztargnieniem.

— Jest to cygan czystej krwi, i ona także — ciągnął dalej p. de Maugeville. — Opowiadał całe swoje życie memu lokajowi, który jest jego przyjacielem i zabiera go codzień do szynkowni.

— Więc ty zwierzyłeś się swemu lokajowi?

— Musiałem. Jan jest zresztą bardzo dowcipny. Co wieczora upoi mi pięknie poczciwca, a ja tymczasem jestem w objęciach mojej Dulcynei. Dopiero gdy jutrzenka zejdzie na niebie, odprowadza go do domu, a ja już wtedy od dawna jestem w hotelu.

— I zostaje jeszcze tydzień w Auxerre?

— Tak. Otóż pojmujesz, że za tydzień będę już przesycony tą miłością i będę już miał dosyć.

P. de Planche-Mibray westchnął.

Żal mi tylko będzie za tą małą dziewczynką, dzieciuchem białym i rumianym, w którego żyłach, jak ci to już mówiłem, płynie kropla krwi de Maugeville. Ale co tam! Gdyby mi przyszło szukać i żałować za wszystkiemi pannami de Maugeville, urodzonemi we wszystkich okolicach... rozumiesz...

I p. de Maugeville zaśmiał [illegible]

— Czy ci ludzie zamieszkują ową barakę? — zapytał p. de Planche-Mibray.

— Tak i nie, zaraz obaczysz. Franfeluche nie jest sam jeden. Ma on, jak sam mówi, swoją trupę, pajaca Marsyljańczyka, dwóch tancerzy, dziewczynkę dziesięcioletnią i chłopca czternastoletniego, dwóch małych cyganiąt czarnych i smagłych jak on. Obaj tancerze i pajac śpią w barace, Franfeluche, jego żona i nasze dziecię mają pokój w oberzy.

— Czy może w hotelu du Léopard lub de l'Epée?

— Nie. Zamieszkali oni w domu w rodzaju szynkowni, utrzymywanym przez starego gajowego mego ojca. Może sobie przypominasz Labranche'a?

— Pamietam.

— Labranche, który odrzucił swój tytuł g[illegible] i nazywa się teraz Józef Vignaud, ożenił się [illegible] szynkarką pułkową. Otworzyli oberzę. In[illegible] idą bardzo dobrze, odkąd pożyczyłem im st[illegible] i nie wątpisz, że są mi bardzo wdzięczni.

— Wierzę — odrzekł p. de Planche-Mib[illegible] ryczą — wywdzięczają ci się, ułatwiając c[illegible] wejście do żony biednego kuglarza.

— Naturalnie, mój koch[illegible]y.

— Gastonie — mówił dalej baron, ściskając p. de Maugeville — czy usłuchasz dobrej rady [illegible] przyjaciela?

— To zależeć będzie od rady, jednakże m[illegible] wsze.

— A więc wracajmy do Léopard. Bonnard da [illegible] swój powóz i konie, pojedziesz ze mną do Planc[illegible] Mibray, zostaniesz u mnie przez dwa tygodnie, a prz[illegible] ten czas Fanfreluche z żoną opuści te strony.

— Mój poczciwy Mibray — uśmiechnął się p. de Maugeville — czy ty się nie zmienisz nigdy?

— I dla czego chcesz abym się zmienił? Czy pamiętasz, jak w pułku męczyłeś nas twemi morałami. Przezwaliśmy cię nawet kaznodziejem.

Pan de Planche-Mirbay ruszył ramionami.

— Do djabła! — ciągnął dalej p. de Maug[illegible] — jak to poznać, żeś nie widział mojej zdobyczy. [illegible]ganka jakiej nie obaczysz!

— Mająca męża dzikiego? — mówił Planche-[illegible] bray.

— Jest to jeszcze jedna pokusa więcej! — odrzekł p. de Maugeville.

— Więc pójdziesz do niej dzisiaj jeszcze?

— Pójdę, lecz chodźmy najprzód popatrzyć się [illegible] ich tańce.

I tak rozmawiając zaszli na plac des [illegible] największy w Auxerre. Baraka kuglarz[illegible] środku, otoczona tłumem, który klaskał [illegible]

Teatr jarmarczny był oświecony czterema [illegible]

Cała trupa należała do przedstawienia.

Pajac bił w bęben, a żona Fanfreluche'a [illegible] [illegible]nietami. Fanfreluche podniósł dwóch

tancerzy i trzymał ich na ramionach jeden na drugim, z rękami wyciągniętemi.

P. de Planche-Mibray wysunął się naprzód widzów. Chciał koniecznie zobaczyć z bliska tę kobietę, dla której jego przyjaciel tak się narażał. W istocie, p. de Maugeville nie przesadzał, pani Fanfreluche była piękną prawdziwie piękną kobietą. Płeć miała smagłą, usta koralowe, włosy czarne, oko świecące i pełne dziwnych blasków, kibić wysmukłą i giętką, ręce małe, takież nóżki, okrągłe ramiona, a przytem wszystkiem uśmiech szatański czy też anielski, uśmiech lubieżny i melancholijny, wyzywający a przytem pełen tajemniczego smutku.

P. de Planche-Mibray zamyślił się i westchnął.

Przyjaciel jego, który dotąd stał za nim, zbliżył się. Kuglarka spostrzegła go i uśmiechnęła się roskosznie, czarująco, a uśmiech ten olśnił samego p. de Planche-Mibray. Fanfreluche, oddany całkiem swoim sztukom, nie widział, ale młody chłopak czternastoletni, spostrzegł p. de Mangeville i w oczach jego p. de Planche-Mibray uchwycił błysk dzikiej nienawiści. Chłopak ten badał tajemnicę swej pani.

Mimowolnie baron zaczął mu się przypatrywać.

Był to także cygan.

Tak jak Fanfreluche miał ciało smagłe, włosy kręcone, czarne, aż niebieskawy odbłysk rzucały, oczy świecące, nos orli i ten dumny profil, zwykły rasom wschodnim.

Poznać w nim było łatwo jedną z tych istot gorących, stworzonych do bezgranicznej miłości lub nienawiści, jakie tylko w kraiach gorących się wyradzają.

Nie wiedząc sam dla czego, p. de Planche-Mibray cofnął się i pociągnął za sobą p. de Maugeville.

Fanfreluche dalej kończył przedstawienie. Połykał kłaki palące, to znów nóż wepchał sobie w gardło.

Potem cyganka tańczyła bolero w zapałem, szukając ciągle oczyma p. de Maugeville.

Naostatku pokazał się pajac i zakończył przedstawienie. Godzina jedenasta uderzyła na zegarze miastowym.

Fanfreluche pogasił świece. Tłum się rozszedł.

P. de Planche-Mibray i p. de Maugeville należeli do tych, którzy odeszli na ostatku; widzieli jak cyganka weszła do baraki.

Wkrótce wyszła.

Szerokie futerko zarzuciła na krótką spodniczkę z świecidłami, i otuliła się kapiszonem.

Na ręku trzymała małą dziewczynkę uspioną. Podeszła, nachyliła swe czoło mężowi, który ją pocałował mówiąc:

— Idź, połóż się żono, i uważaj, aby się dziecko nie przeziębiło.

— A ty nie idziesz z nami? — rzekła głosem pieszczotliwym.

— Nie, pójdę coś przełknąć — odpowiedział Fanfreluche.

— Och! kobiety! — szepnął p. de Planche-Mibray, oburzony tą obłudą i wzruszony głosem pełnym miłości, chociaż brutalnym Fanfreluche'a.

Lokaj pana de Maugeville, uderzył kuglarza po ramieniu, mówiąc:

— Mamy jeszcze grać w pikieta. Będzie to rewanż.

— Chodźmy — odrzekł kuglarz i poszli w kierunku ulicy de Paris.

Pan de Maugeville i towarzysz jego, zwrócili się ku ulicy du Temple.

Pajac i dwaj mali cyganie wrócili do baraki, przerobionej w dom mieszkalny na noc, i wkrótce światło, które przebijało przez deski źle sklejone zgasło zupełnie.

Plac des Fontaines się opróżnił, miasto Auxerre pogrążyło się we śnie.

* * *

W kwadrans później, p. de Mangeville wchodził na ulicę du Temple, podczas gdy pan de Planche Mibray starał się go daremnie zatrzymać.

— Gastonie — mówił baron — bądź rozsądny przynajmniej dzisiaj.

— Jesteś szalony!

— Błagam cię...

— Widziałeś, jak uśmiechnęła się do mnie odchodząc?

— Ale co tam! nie idź...

— Czeka mnię.

— Gastonie, zaklinam cię na naszą przyjaźń...

— Mój kochany — odrzekł zimno p. de Maugeville — znasz mię oddawna, nieprawdaż?

— Bezwątpienia.

— I wiesz, że gdy raz co postanowię, nie cofam nigdy. Dobranoc... do jutra... Czy będziesz jutro na śniadaniu w Léopard?

— Tak, o jedenastej godzinie.

— Przyjdę tam... raz jeszcze dobranoc... to tutaj...

I pan de Maugeville zatrzymał się przed niskiemi drzwiami lichego domku jednopiątrowego.

Tablica z gałązką ostrokrzewu wisiała nad drzwiami. U spodu te słowa naiwne, wypisane były czarnemi literami:

W dowód tkliwej pamięci pułku
Józef Vignaud, oberzysta.

Pan de Maugeville zastukał.

— Kto tam? — ozwał się głos, po którym zaraz p. de Planche-Mibray poznał dawnego gajowego Labranche'a.

— Ja — odrzekł p. de Maugeville.

Drzwi się otwarły i zamknęły po cichu za panem de Maugeville. P. de Planche-Mibray oddalił się, dręczony najczarniejszemi przeczuciami.

Zdawało mu się, że ciągle widzi to oko pełne nienawiści małego cygana, zwrócone na kochanka pani Fanfreluche.

III.

Wyszedłszy z ulicy du Temple, p. de Planche-Mibray nie poszedł do hotelu du Léopard.

Wrócił się na plac des Fontaines.

Noc była łagodna, prawie ciepła.

Księżyc nie świecił, ale niebo lśniło się od gwiazd.

Gwar dzienny ustał. Światła wszystkie pogasły w oknach. Na placu, teraz zupełnie pustym, słychać było tylko jednostajny plusk wody w studniach.

P. de Planche-Mibray usiadł na schodach jednej studni, wyjął z kieszeni cygaro i zapalił.

Ale nie dla odetchnienia miłem powietrzem, i wpatrywania się w gwiazdy, usiadł on w tem miejscu.

Nie spuszczał z oka budy kuglarskiej.

Baraka jarmarczna zdawała się głuchą jak wszystko co ją otaczało.

Jednakże zdawało się panu de Planche-Mibray, że jego uczucia były uzasadnione, i że jeżeli jego przyjacielowi panu de Maugeville groziło niebezpieczeństwo, tam go się trzeba było obawiać.

W istocie, w pół godziny potem, drzwiczki w budzie otwarły się po cichu.

P. de Planche-Mibray wstrzął się.

Baron poznał małego cygana.

Chłopiec oglądnął się na wszystkie strony, chcąc się zapewnić widocznie, czy go kto nie widzi.

Nie spostrzegł jednak pana de Planche-Mibray, ukrytego za studnią.

Cygan szybko pobiegł w kierunku ulicy de Paris.

P. de Planche-Mibray miał ochotę zagrodzić mu przejście i schwycić go za kołnierz. Ale miałże prawo do tego?

Będąc człowiekiem bardzo szlachetnym, zdawało mu się, że przeszkodzić wyjść temu chłopcu, było to zostać wspólnikiem p. de Maugeville. Ale poszedł po cichu za nim, nie spuszczając go z oka.

Na ulicy de Paris, w pobliżu poczty, znajdował się niby to rodzaj szynkowni, której pobłażliwość policyjna pozwalała być otwartą do trzeciej z rana.

Pobłażliwość ta jednak miała swoje powody. W roku 1840. kolej nie istniała jeszcze, a dyliżanse, jadące i wracające z Paryża do Lyonu, przejeżdżały przez Auxerre.

Zwykle o godzinie ósmej wieczór, dyliżans przybywający z hałasem, zatrzymywał się na ulicy de Paris.

O północy powtarzało się znów to samo.

Nareszcie o godzinie trzeciej rano poczta przybywała z kolei. Wszyscy zmieniali konie w tem samem miejscu, to jest właśnie obok szynkowni, o której mówimy.

Konduktor i podróżni tam się posilali.

Mieszkańcy w Auxerre znali dobrze tę nocną knajpę.

Zawsze tam było pełno, i tam to właśnie lokaj pana de Maugeville upajał od tygodnia codziennie cygana Fanfreluche.

I tam to także mały cygan pogonił.

Gdy chłopiec wszedł do szynkowni, p. de Planche-Mibray zatrzymał się przed drzwiami i serce mu zabiło gwałtownie.

Fanfreluche grał z zapałem, a na twarzy jego widać było straszne niezadowolenie.

Przegrywał widocznie i pił bez pamięci, przynajmniej tak się zdawało po jego twarzy rozognionej i ruchach gorączkowych.

Grono ciekawych otaczało ich obu.

Gdy mały cygan wszedł do szynkowni, Fanfreluche podniósł głowę i zapytał z zadziwieniem, prawie z gniewem:

— Co to jest? czego chcesz? po co tu przychodzisz?

Te trzy pytania wymówił szybko, głosem zirytowanym. Chłopiec jednak nie przestraszył się wcale, lecz zamiast odpowiedzieć mu po francuzku, szepnął kilka słów po cygańsku.

— Dobrze — odpowiedział Fanfreluche skinieniem głowy.

Pan de Planche-Mibray widząc, że cygan gra dalej, uspokoił się nieco. Jednakże nie odchodził, będąc przygotowanym na każdy wypadek. Nagle latarnia czerwona zabłysła na drugim końcu ulicy de Paris. W tejże samej chwili rozległ się trzask z bicza i odgłos dzwonków pocztarskich.

Dwunasta uderzyła i dyliżans przybywał.

Zwykle wtedy rozruch się robił w szynkowni, gry i rozmowy ustawały. Wszyscy wybiegali otaczając dyliżans, przyglądając się podróżnym i wypytując konduktora o rozmaite nowiny.

Pan de Planche-Mibray bojąc się, aby go kto nie obaczył, przeszedł na drugą stronę ulicy i ukrył się w sieni jakiegoś starego domku. Przy świetle dyliżansu zdawało się, że inne światła pobladły. Szynkownia została w cieniu, a pan de Planche-Mibray widział, jak mały cygan wspiął się na palcach i szepnął kuglarzowi coś do ucha.

W kwadrans później dyliżans odjechał. Wtedy pan de Planche-Mibray wyszedł z swego ukrycia i powrócił na dawne miejsce.

Ale serce zamarło mu w piersiach.

W szynkowni nie było już kuglarza i małego cygana, a lokaj pana de Maugeville, straszliwie piany, grał jeszcze, ale już z kim innym. Baron pogonił szybko na ulicę du Temple i zatrzymał się dopiero bez tchu prawie przed nędzną oberzą dawnego gajowego, w której spodziewał się jeszcze zastać pana de Maugeville.

Zapukał, nikt mu nie odpowiadał, zapukał raz jeszcze... w tem nagle rozległ się huk straszliwy.

Byłto wystrzał.

W tej chwili dał się słyszeć krzyk okropny, krzyk szalonej rozpaczy i drugi wystrzał, potem jęki straszliwe, krzyki bolesne, rozdzierające powietrze. Baron daremnie silił się i szamotał, by drzwi wywalić. Ze wszystkich stron ludzie przerażeni zaczęli się zbiegać. W tem nad baronem na piętrze otwarło się okno.

Człowiek jakiś zakrwawiony i na pół rozebrany ukazał się w oknie, wstrząsając w powietrzu jakąś bryłą niekształtną, którą rzucił po chwili na bruk ulicy.

Bryła, która upadła z głuchym odgłosem u nóg pana de Planche-Mibray, była ciałem cyganki, którą mąż kompletnie posiekał nożem, i jej to krzyki rozpaczy i konania słychać było przed chwilą. Równocześnie otwarły się drzwi oberzy i wyszedł z nich chwiejąc się człowiek jakiś zbryzgany krwią i upadł

w objęcia pana de Planche-Mibray. Był to pan de Maugeville, który dwa razy strzelał do cygana, nie dosięgnąwszy go, a którego tenże ranił kilka razy nożem w brzuch i piersi.

IV.

W r. 1840 częstsze były wyroki śmierci jak dzisiaj.

Rzadko kiedy sędziowie przypuszczali okoliczności łagodzące.

Cygan Fanfreluche, oskarżony o zamordowanie żony i obywatela ziemskiego, pana de Maugeville — gdyż tenże skonał we dwie godziny później — stawał przed sądem przysięgłych w l'Yonne w miesiąc po tem zdarzeniu.

Morderstwo zostało świadkami udowodnione.

Biedny kuglarz bronił się źle, a jeszcze gorzej bronił go młody adwokat, który dopiero rozpoczynał swoją karjerę, a nie był następcą ani Cicerona ani Demostenesa.

Cokolwiek mówił, nie mógł udowodnić, że cyganka była jego żoną ślubną, nie mógł przedłożyć metryki ślubu, i prawo, uwalniające męża, który zamordował żonę, złapaną na gorącym uczynku niewiary małżeńskiej, jemu nic nie pomogło.

Fanfreluche skazany został na śmierć.

Mały cygan, który go o sprzeniewierzeniu żony uwiadomił, ponieważ powrócił do baraki i nie był w oberzy, uznany był niewinnym.

Sąd kasacyjny odrzucił rekurs skazanego. Ale król go ułaskawił.

Ułaskawił go z powodu starań pana de Planche-Mibray, który użył wszelkich wpływów i swoich przyjaciół, jakich tylko miał w Paryżu.

Fanfreluche wysłany został na galery.

Nazajutrz po odjeździe skazanego do Tulonu, baron zjawił się u burmistrza w Auxerre z zapytaniem:

— Czy nie wiadomo panu, co się stało z małą dziewczynką kuglarza i cyganki zamordowanej?

— Odesłałem ją — odrzekł burmistrz — do domu podrzutków.

— Czy mogę ją ztamtąd odebrać?

— Bez wątpienia.

— A adoptować?

— Ależ naturalnie — odrzekł urzędnik nieco zdziwiony.

— Panie — odpowiedział pan de Planche-Mibray — byłem przyjacielem nieszczęśliwego Maugeville'a, winienem w części naprawić złe, które uczynił.

KONIEC PROLOGU.

Angielska historja

NOWELLA

NAPISAŁ MIECZYSŁAW SCHMITT

I

— Precz z ideałami!... głupstwo marzenia.... rzeczywistość, w to mi graj!

— Ależ Guciu — mówisz inaczej, a myślisz...

— Cóż takiego?—przerwał zagadnięty...

— No, o pannie Helenie...

— Chyba o jej posagu — wtrącił trzeci z młodych ludzi, którzy widać po dobrej wieczeczy, przechodzili czy przechadzali się po jednej z najludniejszych, i zupełnie już pustej ulicy miasta.

— Tak nie — odparł pan Jan, pierwszy przeciwnik Gucia — panna Helena, przecież jest przedstawicielką, a raczej że się tak wyrażę, samem ucieleśnieniem ideału...

— I to bardzo udałem, czyli po waszemu mówiąc pięknem ucieleśnieniem — domruknął pan Eugeniusz, trzeci młodzieniec, wymawiając z naciskiem każde słowo.

— To też masz słuszność kochany Eugeniuszu, mówiąc, że jeżeli myślę o pannie Helenie, to nie o jej osobie, ale o jej posagu.

— Wiesz — krzyknął prawie Jan — słowa te twoje, zakrawają na...

— Czemuż nie kończysz?—zapytał zwolna Gucio — na bezczelność — czy tak?

— Nie, na idiotyzm!

— Źle!...—wtrącił Eugeniusz, cedząc po swojemu. — Na jedno i na drugie — lecz z małymi dodatkami — na idiotyzm serca, a bezczelność rozumu!

— Więc mi przyznajesz słuszność?—zapytał pan Jan, nieco zdziwiony.

— Słuszność?... Hm — hm — Gucio, z zaletami, jakie właśnie wyliczyłem, dojdzie... daleko... A ty mój kochany — z twojemi pojęciami przepadniesz jak...—Tutaj urwał jednak pan Eugeniusz i wlepiając wzrok w jeden punkt, przystanął, a ruchem ręki nakazał milczenie towarzyszom.

— Cóż tam widzisz?—szepnął Gucio.

— Nic dotychczas.

— Z kądże więc ta mina tajemnicza?

— Bo, że nie widzę teraz, nie wynika jeszcze z tego, iżbym nie miał widzieć w przyszłości!... Lecz usuńmy się na bok... tak... w cień...—dodał, popychając towarzyszów w kąt, jaki właśnie tworzył na pół zawalony parkan, około którego przystanęli.

— I na cóż to zakrawa?—mruknął pan Jan dość niecierpliwie, spoglądając z wytężeniem w kierunku wzroku pana Eugeniusza.

— Coś idzie! — zawołał Gucio.

— Coś? — Ba!... po tym bożym świecie, chodzą

rozmaite cosie — odparł filozoficznie pan Eugeniusz.

— Kobieta! — bąknął pan Jan.

— Kobieta? — zapytał Gucio, i zaraz dodał pełnym podziwu głosem: — Co za szalone oko masz Eugeniuszu! Poznałeś więc już z daleka, że to kobieta?

— Przeczułem — lecz nie dość na tem — zakładam się z wami o co chcecie, że młoda, piękna i że będziemy mieli doskonałą zabawkę! —

— Zgoda — zawołał Gucio — trzymam zakład że nie. O tej porze, tylko coś starego i brzydkiego może chodzić po ulicach —

— Więc o dobrą na jutro kolację? —

— Masz moją rękę — Janie przetnij! — zakonkludował pan Gustaw. — Lecz pan Jan tak był zapatrzony w coraz widoczniejszą postać kobiecą, że czy nie słyszał, czy nie chciał słyszeć wezwania.

— Baczność i cisza! — zakomenderował pan Eugeniusz, a wkrótce ukryci w cieniu, trzej młodzi ludzie, osłonili się tak uroczystą ciszą, że zwiedliby słuch nawet indianina. To też kobiecina, na którą czatowali, nie przeczuwając nic złego, pomykała szybko, przesuwając się jak cień po pod ściany domostw.

O kilkanaście kroków od miejsca, gdzie byli ukryci młodzi ludzie, światło latarni rozlewało się dość obficie i w taki sposób, że mogli ujrzeć dobrze osobę nadchodzącą. Gdy się więc znalazła w miejscu tem dla niej krytycznem, postać jej odbiła się jasno na ciemnem tle, a widać wywołała wrażenie w patrzących, gdyż mały szmer, jakby szmer podziwu, dał się słyszeć z ukrycia. Kobieta stanęła jak posąg, z okiem wlepionem badawczo w punkt, z kąd ją doleciał ten dziwny szmer... Trwało to jednak tylko chwilę; uśmiech jakby szyderczy przebiegł po jej ustach i szybkim ruchem ręki osłoniła twarz chustką.

— To nieładnie zakrywać nam tak piękną twarzyczkę! — rzekł w tej chwili pan Eugeniusz, który jakby z pod ziemi znalazł się nagle koło nieznajomej, i chwycił ją za rękę przysłaniającą twarz.

Kobieta milczała, lecz ręki nie starała się wcale usunąć; przeciwnie pan Eugeniusz uczuł jakby lekki uścisk — to go zdziwiło, a zarazem i zasmuciło — chociaż bowiem w jednej części wygrał zakład, gdyż kobieta, którą trzymał za rękę, była piękną — bardzo piękną — to przecież ten uścisk i to bierne jej zachowanie się w obec napaści, nie zdawało się nastręczać tematu do jakiejś nadzwyczajnej awanturki. — Łatwy sukces! — pomyślał, i niezadowolony, puścił rękę nieznajomej. — Guciu, odprowadzimy tę...

— Zapewne! — przerwał Gucio — o tak późnej porze niebezpiecznie jest samej chodzić.

— Jeżeli pani pozwoli? — dorzucił Jan.

— Oh!... pani pozwoli! — zakończył Eugeniusz.

Kobieta jednak nie ruszała się wcale, ani nie odzywała. A, że żyła, i nie była raczej posągiem, można było tylko poznać po płomieniu oka, iskrzącego się z pod okrycia chustki, i patrzącego jakoś dziwnie — nie srogo — ale i nie zachęcająco — nie dumnie, lecz i nie skromnie. — Nie czytałeś w niem radości — ale nie było i smutku!... A jednak wzrok ten przejmował dreszczem. Eugeniusz najodważniejszy, nie mógł wytrzymać tego spojrzenia, i z pewną obawą w głosie zawołał:

— Chodźmyż!... Nie będziemy tu przecież nocować!...

Gucio milczał — jeden Jan dowiódł odwagi, gdyż biorąc za rękę nieznajomą, odezwał się łagodnie:

— Pójdźmy!...

Kobieta usłuchała tym razem, lecz zachowywała się całkiem milcząco, postępujac obok Jana jak automat. Tak doszli do końca ulicy, krzyżującej się z kilkoma innemi. Nie wiedząc w którą stronę się skierować, Jan zatrzymał się. Kobieta stanęła również, patrząc przed siebie z zupełną obojętnością.

— Którędyż pójdziemy?—zapytał Jan.

Milczenie.

— Cóż to, głucho-niema!... — bąknął Eugeniusz, a zbliżając się do niej z widocznym wstrętem, potrząsł ją za ramię i zawołał:

— Hej panno!... cóż to za komedje? Jeżeli nasze towarzystwo ci niemiłe — to... drogi są wolne.

— Czekajno! — wmięszał się Gucio. — Któż tak przemawia do pięknej niewiasty. Ot, tak! — dodał usuwając chustkę z głowy nieznajomej, i składając gorący pocałunek na jej twarzy. ...

Kobieta ani drgnęła, a tylko z pod poruszonej przez Gustawa chustki, rozpłynął się istną powodzią lśniący, kruczy włos, a rozlewając się swobodnie po obnażonej szyji i ramionach, uczynił ją tak dziko piękną, iż młodzi ludzie zamilkli, i wpatrywali się w nią, by w jakie nadziemskie zjawisko. Że jednak wszystko ma swój koniec na świecie, więc i teraz chwila oczarowania przemknęła szybko, a rzeczywistość zajęła na nowo umysły naszych znajomych. Kobieta jakby nie chciała dłużej nadużywać ich wrażliwości, nasunęła chustkę na głowę, osłoniła nią twarz i wolnym krokiem skierowała się w jedną z bocznych ulic.

Młodzież poskoczyła za nią żwawo.

Zmiarkowano już teraz na pewne, że ma się do czynienia z czemś niezwykłem. Gucio pierwszy przysunął się do niej, i biorąc za rękę — rzekł:

— Lecz dlaczegoż to milczenie?... Czy może nie rozumiesz naszego języka?

Starał się spojrzeć jej w oczy i w nich wyczytać odpowiedź. Lecz daremne usiłowania, i tu panowało zupełne milczenie.

Młodzieńcy, ba, nawet poważny Jan zaczynali tracić cierpliwość, tembardziej, że u końca ulicy znowu musieli stanąć, nie wiedząc w którą stronę się zwrócić.

— Udajmy że odchodzimy, a wskaże nam sama drogę — szepnął Eugeniusz, odciągając towarzyszów w przeciwną stronę. Gdy się dość znacznie już oddalili, nieznajoma oglądnęła się jakby za nimi, i powoli bez najmniejszego pośpiechu poszła wprost ulicą. Mło-

dzież postępowała cicho za nią. Promenada taka trwała dosyć długo. Przechodzono z ulicy na ulicę, było jednak aż nadto widocznem, że nieznajoma nie zdążała w żadnym wytkniętym kierunku, lecz błąkała się po ulicach bez celu.

W końcu, Eugeniusz zniecierpliwiony już na dobre, radził wracać do domu.

— Mamy wracać sami? — zapytał Gucio.

— Możesz ją wziąć ze sobą!

— Czy tylko pójdzie?

— Pójdzie — zresztą weź ją pod rękę i zaprowadź!

Jak powiedziano, tak uczyniono, a za chwilę — gdyż było to niedaleko mieszkania Gustawa — zaspany jego służący zatrzasnął ze złością drzwi za tak późnymi gośćmi.

II

Pan Ellen Stockford, bogaty szef firmy: „Stockford, Meeding & Comp.“, przeciągnął się niedbale na miękko wyścielonem łożu, a widząc przez szczeliny firanek, że dzień już sporo postąpił, pociągnął leniwie za guzik od dzwonka, na odgłos którego zjawił się wnet usłużny kamerdyner.

— Czy pan Meeding już wstał? — zapytał szef firmy.

— Jeszcze nie.

— Podaj mi herbatę... wstanę później, bo jestem zmęczony tą przeklętą drogą. Już to moja córka miewa szalone pomysły!

— Ha — jedni jeżdżą po ślubie do Włoch — my na Syberję — odparł sługa, wychodząc.

Pan Stockford, szczęśliwy, bogaty, ceniony, uwielbiany pan Stockford, przeniósł się tymczasem myślami na Old-bond-street No. 47, pierwsze piętro. Tam w pokoju urządzonym z prawdziwie królewskim przepychem, stało pośrodku kolosalne biuro z misternie rzeźbionego hebanu, zarzucone papierami; przy niem usiadł. To jego sanctuarjum, tu się koncentrowało jego życie. Kilka guzików przytwierdzonych do biura, łączyło go telegraficzną linią z Indjami i stolicami państwa Europy. Kilka słabych nieraz tonów tych dzwoneczków, zawiadamiało pana Stockforda, że albo miliony weszły do kasy, albo... Lecz czegoż to się w tej chwili tak wzdrygnął szef domu Stockford, Meeding et Comp.? Czyżby jaki złowrogi głos dzwonka doszedł go aż tutaj? Czyżby jakie smutne wspomnienia... Ej nie... Wstrząśnienie to wywołało nagłe wejście Toma z herbatą. Pan Stockford uśmiechnął się i wziął się do popijania herbaty z prawdziwą przyjemnością.

— Państwo coś długo spią — zauważył Tom.

— Hm... nic dziwnego — odrzekł pan uśmiechając się dwuznacznie. — Byłeś na ulicy? Czy tu już kraj całkiem dziki, czy jeszcze jest trochę cywilizacji?

— Miasto jak każde inne — odparł służący — zdaje się nawet dość wielkie i ruchliwe. Możebym jednak zaglądnął do państwa?

— A możesz! tylko nie budź ich, niech sobie spią jak najdłużej.

Po chwili Tom powrócił z wiadomością, że państwo Meeding zapewne spią jeszcze, gdyż w pokoju cicho jak mak siał.

— Która godzina? — zapytał pan po dłuższej chwili milczenia.

— Jedenasta!...

— Już!...

— A już! — odparł sługa lakonicznie i wyszedł.

Pan Stockford wypił resztę herbaty, zapalił wonne hawanna, i... no, i cóż miał lepszego do czynienia.. począł odczytywać stary numer *Timesu*, numer który wziął na drogę, i już jak najdokładniej, cały, od góry do dołu przeczytał. Przebiegając szpaltę za szpaltą, wzrok jego utkwił wkrótce w miejscu zadrukowanem drobniutkiemi literkami po stronie inseratów. Jakiś pan Jonatan Enders, zawiadamiał swych znajomych, że wbrew doniesieniom dzienników nie umarł, raczej nie zginął przy rozbiciu się statku kupieckiego „Himalaya“ lecz zdoławszy się wyratować, jest całkiem zdrów i wkrótce stanie w Londynie.

Wiadomość ta zdawała się bardzo interesować pana Stockforda, odczytał ją raz, drugi i trzeci. Przypatrywał się jej z bliska, z daleka — widocznie nie dowierzał własnym oczom. Daremne jednak były te usiłowania, im bowiem uparciej się wpatrywał, tem litery zdawały się zwiększać, aż w końcu przybrały olbrzymie kształty, i na całej stronicy dziennika, widział tylko słowa dlań magiczne „Jonatan Enders“... Cygaro wyleciało mu z ręki, papier usunął się na posłanie, i pan Stockford zapadł w zupełne odrętwienie. Od czasu do czasu wymykały się tylko z zaciśniętych jego ust, jakieś niezrozumiałe, na pół niedomawiane wyrazy, jak... nie... fałsz... biedna córka... i t. p. Lecz szef domu Stockford, Meeding & Comp., zanadto miał silne nerwy, ażeby największy nawet cios, mógł pozbawić go na długo sprężystości i panowania nad sobą. To też wkrótce, ocknął się, odrzucił przykrycie, i począł się szybko ubierać. Zadzwonił na służącego, a nakreśliwszy kilka słów, rzekł:

— Dostałem depeszę...

Służący spojrzał ze zdziwieniem na pana. Był w przedpokoju i wiedział, że nikt tamtędy nie przechodził.

— Dostałem depeszę — powtórzył pan surowo — muszę wracać natychmiast do Londynu; list ten oddasz panu Meeding. Teraz zaś postaraj się o konie do dworca.

— Nie wiem, czy tu pociągi odchodzą tak często jak u nas. Zresztą może państwo Meeding już nie spią...

Pan Stockford za całą odpowiedź spojrzał na sługę, ale spojrzał tak, że ten nie mówiąc już ani słowa, zapakował prędko rzeczy swego pana, i powrócił za chwilę z oznajmieniem, że konie czekają.

Pan Stockford wdział paletot i rozglądnął się po pokoju. Wszystko już było wyniesione, a tylko na łóżku leżał *Times*, na stole zaś list, który przed chwilą nakreślił *Times* zmiąwszy, porwał i schował do kieszeni, list oddał Tomowi, i wyszedł. W przedpokoju zawahał się. Przystanął koło drzwi, prowadzących do pokojów państwa Meeding, potem spojrzał badawczo na wylękniónego Toma.

— Pojedziesz ze mną — szepnął. — List ten doręczy im gospodarz.

I nie oglądając się więcej, wyszedł, rzucił służącym hotelowym hojny datek, kazał list oddać państwu Meeding, i pojechał.

Pociąg właśnie odchodził.

Pan Stockford usadowił się wygodnie w pierwszej klasie, a za chwilę para uniosła go w dalekie strony.

Na granicy Tom zawiadomił pana, że w pośpiechu zabrano część rzeczy i paszporta państwa Meeding.

— Odeszlemy je — odparł pan lakonicznie.

III

Pan Gustaw Z. przechadzał się szybkimi krokami po swoim saloniku, a tak po tym chodzie jak po twarzy, widać było znużenie i niezadowolenie. Korzystając z chwili samotności, w której mniej więcej każdy człowiek wydaje się i jest samym sobą, przypatrzmy się naszemu bohaterowi. Średniego wzrostu, smukłej i kształtnej budowy, o ruchach swobodnych, przedstawiał się nam w nim typ przystojnego i miłego młodzieńca. Twarz ściągła, o regularnych rysach, tryskała zdrowiem i tą prawie jeszcze dziecięcą pogodą i jasnością, które cechują ludzi nieobznajomionych z ciemniejszą stroną życia. Usta różowe i kształtne, przysłaniał filuterny jasny wąsik, a z po pod zgrabnego, myślącego czoła, wyglądały ciekawie i rostropnie wielkie, niebieskie oczy. Włos nieco ciemniejszy od zarostu twarzy, układał się z pewną harmonją około głowy, przyprowadzając nieposłuszeństwem swojem właściciela nie raz do rozpaczy, szczególniej zaś gdy był czem wzburzony, naginał je ustawicznie do porządku białą, drobną i wypieszczoną ręką. Teraz naprzykład, włosy pana Gustawa wypowiedziały mu zepełnie posłuszeństwo. Doszło zaś w końcu do tego, że z pięknej początkowo fryzury, pozostały tylko jakieś, w największem nieładzie, na wsze strony głowy porozrzucane kosmyki. Na szczęście dalsze ich męczeństwo przerwało wejście pana Wincentego, vulgo sześćdziesięcioletniego Wicia, starego i wiernego sługi jeszcze ś. p. ojca pana Gustawa.

— Cóż tam? — zawołał pan Gustaw.

— A nic, proszę panicza — spi.

— Cóż doktor powiedział?

— Że przyjdzie później.

— Co tu teraz począć! — zawołał młody pan prawie z rozpaczą w głosie! — A! to nieszczęście! — dodał po chwili — lecz któż się mógł spodziewać czegoś podobnego!

— Hm! — wtrącił Wicuś z poufałością starego sługi. — A czy to ja paniczowi nie mówił już nie raz, że takie...

— Ej, nudny jesteś, raczej radź co począć!

— A cóż proszę panicza, jak się obudzi z tego przeklętego snu, no to i pójdzie sobie na cztery wiatry.

— Powiedział tak doktor? — zapytał Gucio nieco uspokojony.

— Te... nie bardzo on tam to powiedział — no, ale jak nie zechce sama pójść, to... — tutaj poczciwy Wicuś wskazał dosadnym ruchem ręki, jak myśli postąpić. — Zresztą — dodał — nie będzie to po raz pierwszy — i machnął ręką z pogardą.

— Żeby choć przemówiła — rzekł Gucio, więcej do siebie.

— Jabym zaś jedno tylko paniczowi radził: Oto, jak ci panowie przyjdą, to ani słowa! Poszła i koniec, doktor stary, poczciwy, jeszcze nieboszczyka pana przyjaciel, nie powie nikomu, a ci panowie... to z przeproszeniem panicza... to by zaraz się to rozleciało po mieście, i dalej dziwy opowiadać! Aż w końcu, broń Boże, i policja by się gotowa w to wmięszać.

— Co pleciesz! — przerwał Gucio.

— A mało brakowało do tego wtedy, jak to panna z teatru...

— Że też masz przyjemność przywodzić mi na pamięć same nie miłe sprawy! Lepiej podaj mi śniadanie, choć doprawdy, że chciałbym być teraz z tąd przynajmniej o sto mil, i że mi jedzenie wcale nie w głowie.

— Ej... wszystko to jakoś będzie dobrze — uspakajał Wicuś, kochający pana Gustawa tą dawną miłością, starych i wiernych sług, która graniczyła z wiernością psa, a uczuciem lwicy dla swych szczeniąt.

— Ktoś dzwoni—dodał już koło drzwi.—To pewnie który z tych panów. Niechże panicz nic im nie rozpowiada! — prosił błagalnym tonem.

— Ależ to przyjaciele! — tłumaczył Gucio. — Zresztą mogą co poradzić.

— Przyjaciele? — odparł sługa drwiąco, a potem dodał stanowczym choć przytłumionym głosem. — A jednak ja panu radzę zachować milczenie. Radzę... bo to sprawa nie zwykła! Na dowód zaś, że mówię prawdę, patrz pan: Oto pierścień, który zdjąłem jej z palca, ażeby panu pokazać, a ukryć przed oczyma doktora... Pierścieni takich nie nosi kto bądź!—I błysnąwszy przed okiem zdumionego i wylękłego Gustawa ogromnym soliterem, który zaświecił jak tysiąc oczu tygrysich, wymknął się cicho z pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WDOWIEŃSTWO ALINY.

(Ciąg dalszy)

Wuj de Sénonnes, który dotąd widywał ją zawsze onieśmieloną jego obecnością, zdawał się uszom własnym nie wierzyć. Pan Béraud zakrył sobie oczy oburącz.

— Nie pójdziesz stryju — kończyła Alina — bo nikomu nie przyznam prawa mięszania się między mnie, a... męża mojego. Pragnie być wolnym, niechaj nim będzie. Naraziłbyś na szwank tak twoją jak i moją godność, narzucając gwałtem komuś, który mnie niechce.

— To chwila zawrotu głowy, szału przemijającego — bąknął nieśmiało wujaszek. – Masz słuszność aniołku. Zostaw go z hańbą, którą sam już musi odczuwać. Kiedyś... wkrótce może... przyjdzie skruszony stopki twoje ucałować, błagając o przebaczenie.

Zmierzyła mówiącego od stóp aż do głowy, dumnie wyprostowana.

— Nigdy! — wymówiła powoli, tonem lodowatym — nigdy! Cokolwiek by robił na przyszłość młodszy hrabia de Sénonnes, zapora, którą podobało mu się wznieść pomiędzy nami, istnieć nie przestanie. Wszystko skończone. I dla tego mój stryju — zwróciła się ku panu Béraud — przysięgniesz uroczyście...

— Oh! moje dziecię najdroższe! Zrobię wszystko co każesz! — zawołał biedny człowiek tak zmięszany i zrozpaczony, że aż litość brała. — Przebacz dziecię moje! Przebacz nieszczęsnemu!

Ukląkł przed nią, a jam pociągnęła za sobą wuja de Sénonnes, który skoro znalazł się za drzwiami, wybuchnął gwałtownie, grożąc i przeklinając syna, który hańbą go obrzucał.

Miała się później odbyć między nimi — wiem o tem na pewno — scena najstraszniejsza. Rozjątrzony do żywego temi gwałtami, Gaston zaciął się tem bardziej w uporze niezłomnym. Ciocia de Sénonnes zeszła z placu boju, ogłosiwszy się chorą. W ciągu dnia odbywa pięć do sześciu ataków nerwowych, i zalewa się herbatą z kropelką śmietanki, grzaneczkami lub krajankami z bułki, cieniutkiemi jak papier welinowy, z odrobiną masełka i szynki płateczkiem. Dopytuje się ciągle, co świat mówi i myśli o tej całej historji, utrzymując z rozpaczą, że nie będzie mogła pokazać się więcej ludziom na oczy! Jak by w tem był szczyt niedoli! Pielęgnuję ją troskliwie, udaję wielkie współczucie nad jej urojonemi cierpieniami, kraję bułkę i szynkę, przyrządzam tartinki tuzinami, perswadując delikatnie: „że mimo całej zgryzoty, nie wypada się przecież na śmierć głodową skazywać".

Alberyk od czasu do czasu zaczerpuje ztamtąd wiadomości. Przez dni kilka, ta, która jest przyczyną wszystkich naszych zmartwień, chwiała się istotnie między życiem a śmiercią. Teraz niebezpieczeństwo życiu zagrażające, minąć miało, zdrowie jej atoli zostanie na zawsze nadwerężone.

Gaston czeka wyzwania ze strony pana d'Herblay, który siedzi cicho na wsi, nie dając wcale wieści o sobie. Mści się, zostawiając Gastonowi żonę na karku... zemsta równająca się innej, może nawet więcej niż inna wyrafinowana!

Skończyć się musi porwaniem przymusowem i nieszczęściem ogólnem — za to ręczę — kto wie nawet, czy ze wszystkich nie uczuje się najnieszczęśliwszą pani d'Herblay, mimo, iż złośliwi utrzymują, jakoby życie nawet na kartę postawiwszy... partję wygrała.

To nieprawda! Nie trzeba jej znać, aby mówić coś podobnego. Mąż tyran ją nastraszył, straciła głowę, i szukała opieki u jedynego swojego przyjaciela, nie wiedząc, iż ślub został przyspieszony. Była przekonaną, iż nie jest całkiem obojętną Gastonowi, bo czyż nie kochała go teraz więcej niż kiedykolwiek? Złe rozumowanie, to pewna! ale są kobiety — ona przedewszystkiem — które nigdy nie rządzą się rozumem, umiejąc czuć jedynie. Na wiatr rzuciwszy wezwanie kochankowi, przekonała się biedna warjatka, iż wpadła jak bomba w sam dzień przysięgi ślubnej w obec prawa, że może zatem popsuć szyki weselne. Przerażona czynem nie w porę popełnionym, oszalała myślą o swojem zupełnem opuszczeniu, w wyobraźni gorączkowo rozbujałej, widząc się oddaną na pastwę mężowi, który jej straszną zemstą groził, powiedziała sobie:

— Skończmy z życiem i zostawmy światu całemu żal i zgryzoty sumienia.

Tak! ale trzeba było skończyć, umrzeć bądź co bądź! Nie pomylić się w dozie zażytej, bo podobne usiłowania, gdy nie są skutkiem uwieńczone, wzbudzają wstręt i śmiesznością okrywają. Wkrótce sama to zrozumie. Muszę litować się nad nią, iż nie potrafiła zniknąć z horyzontu, osądzam ją inaczej niż tłum bezmyślny, a tak pochopny do potępiania, tak łatwo się mylący. Nie idzie zatem, żebym ją miała za wytłumaczoną, bynajmniej! Wierzę atoli święcie, iż rękami własnemi zgotowała sobie karę zasłużoną, którą wspólnik podzieli z nią niebawem... Co ty sądzisz o tem?"

Na pytanie kategorycznie postawione, książę Druckoj tak odpowiedział:

„Myślę, iż kochana siostrunia wypisała mi ustęp wzruszający z romansu niesłychanie sentymentalnego, czem wykazała zdolności, o które wcale jej nie posądzałem, mianowicie: możność rozczulania się nad miarę i zlewania łzami chusteczki jak mieszczaneczka. I pocóż tyle czułostkowości? Oto z powodu, iż małżeństwo się rozerwało przed spełnieniem, czyli że komedja, która mogła być równie zła, jak tyle innych, skończyła się nie zacząwszy wcale. Twoje niewiniątko ma główkę nie od kształtu, zasady stałe, dużo pieniędzy, poczciwego z kośćmi stryjaszka; nie była w przyszłym małżonku zakochaną, lub kochała się w miarę, jaką z góry naznaczają rodzice lub opiekunowie młodej panience, która ma zostać mężatką bez zarzutu. Typy podobne zostawiają mnie zimnym zupełnie... Naiwność, czystość, prostota anielska... wybornie! Jest to zawsze

jedna i ta sama panna na wydaniu. Niechże zostanie na pociechę panów moralistów i komedjopisarzy. Ja lubię pasjami szaleńców, i dla tego tamtym dwojgu, oddaję całą moją sympatję. Ani on, ani ona, — to mogę zaręczyć! — nie obrachowali naprzód samolubnie interesu własnego... Ta się zabija, tamten się poświęca... jednym rzutem, bez chwili namysłu, bravo! to przynajmniej nie jest pospolitem, i w końcu, to się nazywa brać życie na serjo. Szczęśliwy, kto coś podobnego dziś jeszcze potrafi! Szał, który wtrącił ich wzajemnie w objęcie, może nie potrwać długo; odczuli go jednakże, poddali mu się bezwarunkowo, przypuszczam, iż są to chwile nadziemskich roskoszy, gdy nas coś wzruszy do głębi, gdy unosi nas prąd namiętny, gdy głowę tracimy jednem słowem! Nie każdemu dano mieć w życiu takie chwile. Podziwiam i zazdroszczę. Hultaj pospolity, byłby zaślubił pannę z miljonami, zachowując nadal metresę; przysięgałby żonie wierność ze zdradą w sercu i porzuciłby wreszcie obiedwie, dla trzeciego, najnowszego kaprysu, któryby również nie był jeszcze ostatnim. I świat na to przymknął by oczy pobożnie, znajdując, że podobne wypadeczki, jeżeli grzeszą cokolwiek przeciw moralności, zdarzają się jednak bardzo często. Otóż wszystko zwykłe i dzienne świat tłumaczy i... przebacza. Twój zbrodniarz był uczciwszym, uszanował dziewicę, i pozostał wiernym, jak rycerz średniowieczny Magdalenie, która jego tylko miała na świecie. Jego nibyto ofiara, odda mu kiedyś sama sprawiedliwość, gdy go innym mężem zastąpi... że go zastąpi, to nie ulega wątpliwości! Przecież tak we Francji, jak i gdzieindziej, musi być łatwym do zerwania związek urojony, oparty na jednem „tak“ przy świadkach zamienionem, po którem nic zresztą nie nastąpiło... a ponieważ panna Béraud jest bogatą, znajdzie niebawem ową niezbędność, pozwalającą pannom nosić brylanty, wychodzić samym na ulicę... a która mężem się nazywa. Życzę jej, aby jak najprędzej została zaopatrzoną, a tymczasem nie żałuję bynajmniej twojego kuzynka Gastona (który jako fantasta i zapaleniec, podobał mi się już w Paryżu, gdym miał sposobność go poznać). Czuje, żyje niejako tem, co wyraża; nie jest poetą li na papierze. Co do pani d'Herblay, w której kochałem się przez cały jeden wieczór w Wielkiej Operze, warta również, aby dla niej popełnić szaleństwo. Jest ona z tego rodzaju kobiet, które przenoszę nad inne; drgająca pod każdem wrażeniem, jak struna w arfie eolskiej; rozsiewająca czar w około, przenikający i upajający jednocześnie, jak woń kwiatów tropikalnych; nie mająca więcej siły od powoju, nie zdolna istnieć sama, nie zdolna do własnej obrony, stworzona aby przywiązać do siebie na wieki! Co do mnie — nie wiem czy to źle, czy dobrze — znajduję dotąd na mojej drodze same kokietki, które chwilowo zupełnie mi wystarczają... Doświadczenie w życiu, uczy nas zadawalniać się czemkolwiek, i ograniczać pragnienia. Otóż podszarzane cokolwiek piękności z Isola Bella, zastąpiłem dwiema ognistemi źrenicami, należącemi do Stanów Zjednoczonych. One są moją gwiazdą obecnie... ale chroń Boże! nie gwiazdą stałą. Jedziemy konno, płyniemy w łódce, lub w gondoli flirtujemy bez wytchnienia! Czasem, w podróży, bawi i pociąga wir podobny. Skończy się, skoro zechcę. Pod tym względem, jesteś całkiem spokojną, nieprawdaż? Znasz przecie twojego starego Szaszę?“

Odpowiedź nie kazała długo czekać na siebie. Pismo było piękne, drobne, okrągłe jak perełki, atrament błękitny, na papierze różowym, przesiąkniętym ową wonią cudowną, nieokreśloną, którą hrabina Olga w koło siebie rozlewała.

„Posuwasz za daleko zamiłowanie do paradoksów... bredzisz braciszku kochany! List twój od początku do końca jest niedorzeczny, w wysokim stopniu gorszący. Mówię ci to, jak zawsze, bez ogródki. Najprzód: tyle rozumiesz się na prawach francuskich, co ja na chińskim języku! Pod względem małżeństwa, kodeks tutejszy, jest, według mojego zdania najniedorzeczniejszy, najnielitościwszy, najwięcej barbarzyński pod słońcem! W innych kwestjach, nie zadawałam sobie trudu, żeby wertować te Księgi Mądrości. Dowiedz że się! — nic nie zmyślam, tylko cytuję. Poznasz to po wyrażeniach technicznych, wcale w salonie nie używanych. Otóż we Francji małżeństwo jest nierozerwalne, nie przez fakt mieszkania pod jednym dachem, ale czysto po prostu, przez akt cywilny. Skoro akt został wystawiony, w obecności czterech świadków, po odczytaniu wszystkich punktów stronom interesowanym, skoro wymówiono słowa solenne: „Łączę was w imieniu prawa“ skuci są do śmierci. Nic nie pomoże: ani obelgi, katowanie, dybanie na życie drugiego z małżonków, ani zdrada, czudzołóstwo, kara haniebna, opuszczenie natychmiastowe przez męża, jak w tym wypadku, nic! nic ich wzajemnie rozwiązać nie może! Oh! gdyby znaleść w akcie myłkę najlżejszą, (podziwiam mądrość panów prawodawców!) imię lub nazwisko inaczej zapisane, tytuł opuszczony... to wystarcza, aby akt unieważnić. Tu jednak niestety! wszystko jest w najwyższym porządku, prócz męża niegodnego postępowania! Powiedz że o tem trybunałom! Udadzą głuchych, tak jak pewien notarjusz, którego temi dniami w tej sprawie pytałam, i w końcu do ostateczności doprowadzona, niemal z błotem go zmięszałam.

— Ależ hrabino, mamy sądową separację, która zasłania od obelg, złego traktowania, napaści...

— Śliczne lekarstwo, ta wasza separacja! Co dzień widzimy, jakiemi kobietami obdarza społeczeństwo! Zresztą nie o to nam idzie. Nie zaczęli żyć razem, więc i o podobnych skargach mowy być nie może. Krzywda wyrządzona, polega w tem właśnie, iż przysięga nie została dotrzymaną, że ludzie, którzy wczoraj miłość, wierność, a ze strony męża pomoc i opiekę sobie przyrzekali, nazajutrz uczuli się obcymi nawzajem, wrogami nieledwie, straconymi na zawsze jedno dla drugiego!

— Gdzie na to dowody?

— Ależ to oczywiste! Nie mieszkali ani godziny pod jednym dachem!

— Tak! dawniej to obowiązywało. Małżonkowie musieli mieszkać razem, aby akt cywilny był ważny. Tak opiewał kodeks z roku 1639. Odtąd prawo zostało zmienione.

—Zmiana głupia i niegodziwa, mój panie! Jakkolwiek złemi są wasze prawa, muszą przynajmniej to uwzględnić: nie brali ślubu w kościele, zatem...

— Oh! sakrament w naszych oczach jest zbytecznym. Można się łatwo obejść bez niego, skoro warunki prawne...

— Panie! — spiorunowałam go wejrzeniem, ale jakiem!... Umilkł... Nie! Nigdy nie byłabym przypuściła, żeby notarjusz, używający sławy uczciwego człowieka, mógł być do tego stopnia niemoralnym!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pogadanka.

A! pogadanka! — zawołacie zdumieni czytelnicy.

Tak pogadanka, lecz czy to *a*! pogadanka czy *be*! pogadanka, nie moja rzecz o tem sądzić!

W niemałym jestem kłopocie, jakby tu się prędko a dobrze zapoznać z Wami łaskawi czytelnicy, bo pierwsza pogadanka ma niejakie podobieństwo z pierwszą konwencjonalną wizytą, podczas której trudno mówić o czemś więcej jak o pogodzie. Nie mogę przecież wedle tej reguły zacząć prawić o zmianach aury, które nadto dały się Wam we znaki, by Was to zająć mogło. Zresztą najwidoczniej coś się w górze popsuło, jakieś nieporządki tam nastąpiły, a że przykład idzie „z góry“, przeto dosyć jeszcze wynajdę owych nieporządków na ziemi, by dzisiejszą pogadankę zapełnić.

Co się tyczy tych nieporządków niebieskich, w rzeczywistym jestem strachu, bo jakieś włóczęgi już od lat kilku wałęsają się po niebie, niepokojąc spokojnych obywateli ziemi, a astronomowie co roku nam przepowiadają to rzucenie się komety, jak ćma w ogień, w wulkan słoneczny, to zderzenie się tegoż z naszym globem. Zderzenia tego z ziemią, dobrze rozważywszy, jakoś nie tak bardzo znowu się obawiam, bo gdyśmy się tysiące lat bez tych odwidzin obchodzili, nie wiem zkądby któremu z nich przyszła ta raptowna chęć poznania cudów naszego globu. Gdyby jednak obecny, lub jaki przyszły kometa, chciał nam zrobić ten zaszczyt i zechciał nas odwidzić, raczcie nam go panowie koniecznie przysłać do Lwowa, bo gdy on nam swą miotłą nie zamiecie raz miasta, to chyba wkrótce utoniemy w błocie!

Lecz zejdźmy na ziemię, a mianowicie do Lwowa i pomówmy o sprawach bliżej nas obchodzących.

Biedna Melpomena tyle się teraz doczekała przeróżnych obron, że kiedyś ze strachem naiwnie mię się zapytała, czy rzeczywiście jest tak nieszczęśliwą! Nie umiałem jej dać kategorycznej odpowiedzi, nie mogąc sobie przypomnieć, czy i o ile była ona kiedy szczęśliwszą!

Ale żart na stronę, śmiech mnie zbiera, czytając te wszystkie żale i narzekania na obecną dyrekcję teatru. Czy panowie krytycy już zapomnieli, co pisali przed laty kilku i kilkunastu? Czyż to pierwsza dyrekcja, która ich nie zadowolniła? Wymieńcie mi choć jedną, nad którą by nie rozwodzili żali Jeremiaszowych! Nie jesteśmy Paryżem, byśmy mogli zdobyć się na pierwszorzędną scenę, jesteśmy lichą żydowsko-prowincjonalną mieściną, a odsunięci od bardziej uczęszczanych traktów europejskich i widząc jak zadajemy szyku pseudo-obywatelom wiejskim, przyjeżdżającym raz na rok do Lwowa, wyobraziliśmy sobie, że jesteśmy jakiemś wielkiem i bogatem miastem! Dajmy lepiej spokój tym obronom Melpomeny i mrzonkom wielkomiastowym, bo to wygląda na burzę w szklance wody, a co się tyczy teraźniejszych i przeszłych dyrekcyj, to chyba wart pałac Paca, a Pac pałaca! Dyrekcji nie mam zamiaru brać w obronę, bo ma ona jak i każda swoje braki, lecz kto temu winien? kto, wy, publiczność, tysiąc razy wy, a nie kto inny! Czyż można żądać od dyrekcji, by wystawiała sztuki klasyczne, na które nikt nie chodzi? Czyż można żądać, by utrzymywała lepszych artystów dramatycznych, kiedy na dramat nikt chodzić nie chce? Nasza publiczność wymaga tańców braci Phoites, a już rano bilety rozkupi, jej potrzeba „Wojny o tancerkę, Dzwonów, Boccaccia“, by zwabić ją do teatru. Lecz swoją drogą, czyż i publiczności dziwić się można? Trudno, dziś chcemy się śmiać i bawić. Za dużo tragedji w życiu!

Doprawdy śmieszni ci Katoni, zarzucający dyrekcji, że oddaliła takich artystów jak Ładnowski, Fiszer, Podwyszyński etc. Więc cóż, było ich użyć w operetkach? Cudowny pomysł! Wyobraźmy tak sobie Ładnowskiego i Podwyszyńskiego, przybranych za duchów „Apajune“, stojących na klockach i grożących sobie nawzajem widłami! To by było rzeczywiście warte widzenia!

Ot, zostawmy panowie lepiej w spokoju naszą nieszczęśliwą scenę, dajmy spokój dyrekcji, a obronę Melpomeny pozostawmy publiczności, która zawsze i wszędzie najlepiej ją bronić potrafi! Żebyście sobie płuca wygadali i wypotrzebowali morze atramentu i czernidła drukarskiego, gustu publiczności przerobić nie potraficie, dopóki się sam nie przetrawi i nie przeji, a dyrekcji chyba życzę, by zrozumiała swój interes i sprowadziła ze sto szansonetek, a w dowód swej wdzięczności, mnie jako wnioskodawcy, z pewnością codzień przyszle kosz szampana.

Może rozpisałem się trochę za dużo o tych różnych obronach i zarzutach, lecz gdy wszyscy już tyle o tem nagadali, musiałem i ja moje trzy grosze wściubić.

Muszę wrócić jeszcze do teatru, ale kwestję obrabiać z innego tonu.

Przy końcu zeszłego tygodnia uraczyła nas dyrekcja nowym dramatem czteroaktowym Erckman'a i Chatrian'a, „Bracia Rantzau“. Sztuka ta poprzedzona wielkim rozgłosem, trudno żeby w repertoarze teatru lwowskiego się utrzymała. Paryż ma swoje chimery, jak każdy przeżyty człowiek, zresztą publika tamtejsza, jak w każdem wielkiem mieście, jest najrozmaitsza i co jedni zganią, drudzy uznają za arcydzieło. Nie mówię to do „Braci Rantzau“, bo sztuki tej zganić nie można, lecz razi w niej zbyteczne rozwałkowanie, przez co całość stała się ciężka i nużąca.

Oto treść sztuki:

Zdziecinniały starzec, ojciec dwóch synów, umierając podzielił między nich majątek lecz nie na równe części. Ztąd wywiązała się między nimi nienawiść, która rosnąc z dniem każdym, zrobiła z nich jawnych wrogów. Trzydzieści lat trwała ta walka, jeden drugiemu na każdym kroku starał się szkodzić, wpajając również w swe dzieci jad nienawiści. Jeden posiadał syna, drugi córkę. Dzieci te były jedynakami. Nie wiem jak autor zechciałby nam to psychologicznie wytłumaczyć, jednakże te dzieci, wychowane od lat najmłodszych w wzajemnej nienawiści, nie zamieniwszy z sobą nigdy ani słowa, nie widując się prawie, pokochały się szalenie. No i tak dalej i dalej, córka chce umierać, że ojciec każe jej poślubić innego, syn kłóci się znowu z ojcem i chce dom porzucić, wreszcie ojciec córki, zbolały jej chorobą i łzami, idzie do brata, zgadza się na wszystkie podane przez niego warunki, byle zezwolił na ten związek. No i wszystko dobrze się kończy, bo przy podpisywaniu kontraktu, godzą się ostatecznie bracia, po przekonywującej przemowie syna. — Ot! mamy i morał, że majątek między dzieci należy równo podzielić.

Temat to może trochę nie nowy, lecz rzecz sama przez się zła nie jest.

W środę mieliśmy „Odettę“ dramat czteroaktowy Wiktoryna Sardou na benefis p. Kwiecińskiej. Beneficjantka może się poszczycić, że stała się ulubienicą publiczności, to też na jej benefis tłumnie pospieszono do teatru i nie szczędzono bukietów i oklasków. O sztuce samej mówić nie będziemy, gdyż jest już znaną, a o grze dosyć powiedzieć, że role pierwszorzędne były oddane w takie ręce jak p. Woleńskiego, p. Nowakowskiej, p. Kwiecińskiej i t. d. Całość zaś wypadła tak dobrze, że chyba tym razem i nasi Zoile narzekać nie mogli.

Z kroniki tygodnia zanotować nam jeszcze wypada, że wieczorek Mićkiewiczowski wypadł w całem tego słowa znaczeniu świetnie, a czarowny wieniec pań nie mało się do tej świetności przyczynił.

Kwik-kwak.

Redaktor-Wydawca: W. Maniecki.